

O mniejszości z pozycji słuszności

ŁUKASZ SOMMER

O ile rozumiem, było tak: w latach 1998-2001 Michael Fleming jeździł do Polski i badał sytuację mniejszości narodowych. Rozmawiał z mniej lub bardziej prominentnymi, a nawet całkiem szarymi przedstawicielami mniejszościowych organizacji. Przeprowadził szereg badań socjologicznych, jak również ponad setkę wywiadów. Wypytywał polskich Białorusinów, Niemców i Żydów o poczucie tożsamości, o język rodzimy i używany na co dzień w domu tudzież o to, co – ich zdaniem – stanowi kryterium przynależności do danej grupy: język, pochodzenie czy może wyznanie? Pytał o uczestnictwo w mniejszościowym życiu kulturalnym i promujących je (lepiej lub gorzej) organizacjach. Pytał, czy respondenci czują się reprezentowani przez polskie władze państwowe, a także o ich sympatie polityczne i stosunek do zmiany ustroju w 1989 roku. Następnie umieścił zebrane dane w stosownych tabelach i wykresach, po czym skonfrontował z bardziej obiektywnymi informacjami na temat swoich respondentów, jak wiek, płeć, wykształcenie i grupa zawodowa. Tak powstała kolejna porcja wykresów, z których kto ciekaw, może się dowiedzieć, że np. odsetek zbadanych między 1999 a 2000 rokiem Białorusinów jednoznacznie utożsamiających się z białoruskością osobiście zygzakuje w zależności od grupy wiekowej: z 20% w grupie 65- i więcej-latków skacze do prawie 50% w grupie 55-64-latków; w grupie 45-54-latków spada do 40%; następnie wśród ludzi między 35 a 44 rokiem życia szczytuje, zbliżając się do 60%, by w dwóch najmłodszych grupach znowu dramatycznie spaść – prawie do poziomu najstarszego pokolenia. Zebrawszy i uporządkowawszy wszystkie te dane, Michael Fleming opisał je i skomentował na jakichś 160 stronach i poprzedził 120 stronami wprowadzenia. We wprowadzeniu omówił problemy teoretyczne związane z pojęciem narodu, historyczną specyfikę polskiego nacjonalizmu i stosunków narodowościowych w Polsce ze szczególnym uwzględnieniem okresu PRL. Przedstawił też w skrócie ewolucję pojęcia „mniejszości narodowej” w kontekście prawnym. Całość uzupełnił sześcioma dodatkami, zawierającymi komentarze metodologiczne oraz sporządzone przez autora kwestionariusze. Tak powstał obfity doktorat, który w 2001 roku Fleming obronił na Uniwersytecie Oxfordzkim, następnie zaś wydał w postaci nie mniej obfitej książki, zatytułowanej „*National Minorities in Post-Communist Poland*”.

Bogiem a prawdą, przy całej swojej obfитоści książka Fleminga i tak obiecuje tytułem więcej niż daje, ponieważ nie omawia wszystkich ani nawet większej części istniejących w Polsce grup mniejszościowych, tylko wspomniane już trzy: Białorusinów, Niemców i Żydów. Wybór swój Fleming tłumaczy dwojako. Po pierwsze, powiada, każda z tych grup weszła w okres postkomunistyczny z odmienną pozycją i odmiennymi „zasobami”, co wpłynęło na jej późniejsze położenie. Po drugie, polscy Białorusini i Niemcy – jako

grupy zbliżonych rozmiarów, zamieszkujące głównie na obszarach wiejskich niedaleko od granicy z „krajem pobratymczym” (*kin state*), z drugiej zaś strony różniące się znacznym poziomem świadomości narodowej i położeniem społeczno-ekonomicznym – stanowią wdzięczny obiekt porównań. Co się zaś tyczy wyraźnie odstających od białorusko-niemieckiego modelu polskich Żydów, włączenie ich do rozważań zmusza do postawienia dodatkowych pytań, rzucających więcej światła na całe zagadnienie mniejszości narodowych i ich sytuacji w Polsce.

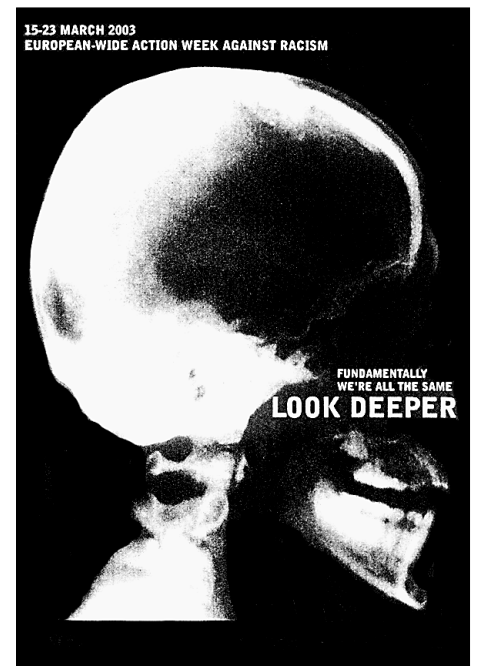
Swoje rozważania nad prawami polskich mniejszości Fleming umieszcza w kontekście przemian w Europie po roku 1989. Świeżo zdemokratyzowane państwo łaknęło „prowokacji do Europy”, co skonkretyzowało się w dążeniach do członkostwa w NATO i UE, jak również we współpracy z przybierającą właśnie instytucjonalny kształt OBWE. Dążenia te z kolei motywowały Polskę do adaptacji swego systemu prawnego, tak by spełniał on standardy tych międzynarodowych organizacji. Jak z wyraźną dezaprobatą podkreśla autor, przyjęto tu założenie, że neoliberalny i wyzbyty myślenia obywatelskiego Wschód ma dostosować się do liberalnego i obywatelskiego Zachodu, zaś KBWE (poprzedniczka OBWE) przyjęła rolę instytucji oceniającej postęp krajów wschodnioeuropejskich na drodze ku zachodnim standardom. Dezaprobatą Fleminga wynika po pierwsze stąd, że Polska, dzięki Kościołowi katolickiemu, grupom w rodzaju KOR-u oraz sojuszowi robotniczo-inteligenckiemu z czasów „Solidarności” dysponowała już alternatywnymi przestrzeniami niezależnej debaty publicznej – była więc, jego zdaniem, niezgorzej otrząskana z koncepcją społeczeństwa obywatelskiego. Po drugie, to właśnie liberalizacja w duchu zachodnim zniszczyła, jak sugeruje Fleming, pierwotny charakter wielokulturowego w Polsce społeczeństwa obywatelskiego na rzecz modelu „burżuazyjnego” (s. 96), co oznaczało wykluczenie z owej wspólnej przestrzeni szerokich grup społecznych, zwłaszcza robotników (tu wzmianka o planie Balcerowicza). Promując ideę społeczeństwa obywatelskiego i demokracji, jako w naturalny sposób związanych z kapitalizmem, KBWE przyłożyła znaczną wagę do losu mniejszości narodowych jako istotnego miernika jakości transformacji politycznej, społecznej i prawnej w krajach wschodniej Europy. Tak więc Polska przyjęła stosowne konwencje, zagwarantowała mniejszościom wszelkie związane z tym prawa do kultywowania własnej tożsamości, wpięła do kodeksu karnego zapisy o znieważaniu i szerzeniu nienawiści – wreszcie podpisała dwustronne umowy z Białorusią, Niemcami i Izraelem, tym samym umożliwiając grupom mniejszościowym otrzymywanie pomocy z „krajów pobratymczych”.

W ten sposób stała się krajem spełniającym „zachodnie standardy” i wszystko powinno być świetnie – ale nie jest. Zasada pluralizmu i prawne gwarancje równości, powiada Fleming, umożliwiły mniejszościom rozwój – ale bynajmniej nie w równym stopniu. Wyniki jego badań, co raczej nie powinno być dla nas zaskoczeniem, wykazują, że okres po 1989 roku przyniósł wyraźne ożywienie i rozbudzenie poczucia mniejszościowej tożsamości narodowej wśród polskich Niemców i Żydów, podczas gdy społeczność białoruska wydaje się zsuwać po równi pochyłej. Degradacja gospodarcza regionów północno-wschodnich zmusza ich oraz częściej do migracji, migracja zaś na ogół oznacza polonizację, jako że tożsamość białoruska w dalszym ciągu utożsamiana jest silnie – również przez samych

zainteresowanych – z przynależnością do regionu, rolniczym trybem życia i kulturą ludową. Miejskiego modelu białoruskości właściwie nie udało się wypromować, toteż krąg Białorusinów zmodernizowanych i zurbanizowanych, a zarazem ceniących własną białoruskość, ogranicza się do wąskiej grupy narodowo usposobionej inteligencji. Niski prestiż białoruskości wśród społeczności polskiej, słabe tradycje ruchu narodowego, wreszcie brak jakiegokolwiek wsparcia (czy choćby pozytywnych wzorców tożsamościowych) w „krajach pobratymczych” za miedzą – wszystko to sprawia, że pozycja społeczności białoruskiej jako mniejszości narodowej w Polsce jest słaba. Z kolei słabość pozycji wyjściowej powoduje, że te same przemiany, które na społeczność niemiecką i żydowską podziały ożywczo, Białorusinom przyniosły dalszą degradację zbiorowej tożsamości. Zmiana prawa o mniejszościach niewiele zmieniła w ich położeniu.

Bo też – i to jest właśnie zasadnicza myśl Fleminga, która przewija się raz po raz we wprowadzeniu, podsumowaniu, a nawet na tylnej okładce książki – „ramy prawne to tylko jeden z czynników, który wpływa pozytywnie na słyszalność głosu mniejszości, ale jej nie gwarantuje” (s. 280). Mówiąc o prawach mniejszości narodowej, nie sposób oderwać kwestii narodowej od kwestii społecznej. Jeżeli bowiem abstrahujemy od takich czynników siły przebicia danej grupy, jak jej „kapitał polityczny i finansowy”, przysługujące jej uprawnienia polityczno-prawne mogą w praktyce okazać się cokolwiek pustawę. W tym sensie przewijające się w książce Fleminga wzmianki o sytuacji robotników splatają się z tematem głównym. Skoro bowiem tożsamość narodowa to jedna z wielu możliwych form tożsamości, tendencyjnie faworyzowana przez demokrację w jej burżuazyjnej postaci, bezstronne spojrzenie winno rozpatrywać ją niezależnie od tych niefortunnych uwarunkowań. Tym samym kłopoty tożsamościowe Białorusinów wpisują się w kontinuum problemów społecznych będących wynikiem „wybitnie dyskryminacyjnych poczynań” (s. 279) postkomunistycznego państwa polskiego, takich jak powszechna nierówność, upadek ekonomiczny wsi, „nieustający atak na elementarne prawa robotników (gwarancje pracownicze, bezpieczeństwo, płaca, opieka społeczna – emerytura i opieka zdrowotna) oraz dążenie państwa i Kościoła katolickiego do odsunięcia kobiet od wszelkiej działalności prócz rodzenia dzieci i dbania o dom” (tamże).

Chciałoby się napisać o książce Fleminga jakiejś zyczliwsze słowo, bo widać, że jest ona owocem niebagatelnej pracy. Autor nie poprzestał na lekturze statystyk i informacji zebranych przez kogo innego (choć bibliografię książka ma niemałą), tylko „ruszył w lud” i przez szereg miesięcy jeździł po Białostocczyźnie i Śląsku Opolskim, rozmawiając z mieszkańcami. Żeby z nimi pogadać, dodajmy, nauczył się co najmniej jednego języka, i to nie najłatwiejszego – nie wiem nic o niemieckim i białoruszczyźnie autora, bibliografia nie zawiera żadnych pozycji w tych językach, ale zamieszczone na końcu książki kwestionariusze zrobione są bardzo porządnie polszczyzną. Z drugiej strony – czytając „National Minorities...” nie mamy do czynienia wyłącznie z robotą terenowego badacza; komentując swoje wyniki, Fleming daje świadectwo rozległego odczytania, w związku z czym empiryczny konkretny lokalnych badań odnosi się do bogatego kontekstu filozofii społecznej. Co do meritum: chyba to prawda, że rozpatrując sytuację rozmaitych

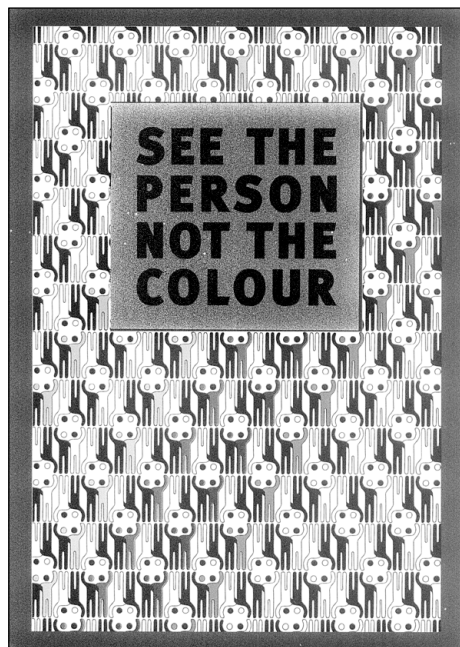


Generalnie wszyscy jesteśmy tacy sami – patrz głębiej

mniejszości narodowych często zaniedbuje się jej związek z szerszym tłem uwarunkowań socjoekonomicznych, a i Flemingowe spojrzenie na klerikalizację życia publicznego w Polsce jest mi raczej bliskie. Tyle ciepłych słów, a teraz, niestety, muszę przystąpić do narzekań, bo mam z książką Michaela Fleminga zasadnicze kłopoty – na tyle zasadnicze, że i tę garść życzliwych uwag będę za chwilę musiał zakwestionować.

Po pierwsze, mimo zawartych we wstępie uzasadnień, wątpliwości budzi dokonany przez autora wybór grup mniejszościowych. Całkowicie rozumiem konieczność zawężenia tematu, dociera do mnie sens zestawienia Białorusinów i Niemców w Polsce jako mniejszości pod pewnymi względami zbliżonych, pod innymi zaś radykalnie odmiennych, a także Żydów – właśnie od względu na ich radykalną odmienność od obydwu „wielkich” grup mniejszościowych. Odnoszę jednak wrażenie, że pisząc swoją książkę Fleming – niezależnie od narzuconych sobie ograniczeń – dążył do stworzenia czegoś w rodzaju monografii i że wybrane przez siebie grupy traktuje jako *pars pro toto*. O takich ambicjach świadczy bodaj tytuł całości. Ale właśnie ze względu na rozmach autorskiego zamysłu, w książce Fleminga rzuca się w oczy całkowita nieobecność Ukraińców – i odbieram ją jako istotny brak. Ukraińcy to nie tylko jedna z trzech największych grup mniejszościowych w kraju, to również społeczność, której losy w powojennej Polsce odróżniają ją od Niemców i Białorusinów w sposób istotny i jakościowy. Tradycje chłopskie, które poddano dramatycznej próbie masowych przesiedleń i związanej z tym często gwałtownej, brutalnej urbanizacji; osobliwa kombinacja silnego zakorzenienia regionalnego w bliskim sąsiedztwie „krajów pobratymczych” z fizycznym rozproszeniem – wszystko to czyni z polskich Ukraińców przypadek dość odrębny, nie dający się sensownie przedstawić jako wariant modeli zilustrowanych na przykładzie Białorusinów i Niemców czy tym bardziej Żydów.

Co więcej, nieobecność Ukraińców w głównej części książki powoduje ich marginalizację we wprowadzeniu historycznym, to zaś sprawia, że pewne rzeczy stają się niezrozumiałe. Dlaczego to – zdziwił się jakiś anglojęzyczny czytelnik – część Białorusinów deklaruje właśnie ukraiński jako język rodzimy? Dowie się dopiero pod ko-



Patrz na człowieka, a nie na kolor

niec książki, a i to z budzących wątpliwości przypisów, o których za chwilę. Bez Ukraińców niejasno brzmią też sporadyczne wzmianki o Kościele unickim. Fleming, serwując anglojęzycznemu odbiorcy całkiem podstawowe informacje z historii Polski, akurat o unitach wspomina jak o czymś oczywistym – sam zresztą nie ustrzegł się błędów, gdyż w rozdziale poświęconym roli Kościoła katolickiego w Polsce utożsamia ludność ukraińską z prawosławiem (s. 79).

Drużga sprawa dotyczy badań socjologicznych. Jako człowiek z socjologiczną praktyką nieobeznany, żywię instynktowny szacunek dla wszelkich wykresów statystycznych; niezależnie więc od wszelkich innych zastrzeżeń, byłem gotów z czcią pochylić głowę przed wynikami terenowego trudu Fleminga. Ale i tu dopadły mnie wątpliwości. We wspomnianych już wykresach ilustrujących stopień poczucia tożsamości narodowej w zależności od grupy wiekowej funkcjonuje kategoria *unacknowledging*, czyli „nie postrzegający się”. Aby posługiwać się podobną kategorią, trzeba założyć pewne obiektywne „minimum przynależności”, rozpoznawalne przez badacza, a zarazem niezależne od poglądu samego zainteresowanego. Jakie kryterium „bycia członkiem mniejszości” przyjmuje Fleming w swoich badaniach? Odpowiedź znajdujemy na s. 4: „*Traktowałem daną osobę jako członka mniejszości, jeżeli ona sama deklarowała, że jest jej członkiem oraz/lub jeżeli inni ją za takiego uważali*”. Obawiam się, że w takim razie „oraz/lub” sugeruje znaczną dowolność. Czy respondentów „*narodowo uświadomionych*” Fleming wypytywał na podstawie ich własnych deklaracji, zaś „*nieuświadomionych*” wskazał mu ich sąsiad? Wyjaśnienia autora, w jaki sposób docierał do swych respondentów i rozmówców (ss. 23-24, 327-329) nie usuwają tej niejasności.

Gorzej jeszcze: wykresy dotyczące poszczególnych mniejszości mają charakter procentowy, tymczasem opierają się na 50-osobowych zaledwie grupach respondentów, w dodatku podzielonych na 6 lub więcej klas, w najlepszym więc razie na każdą podgrupę przypada średnio 8⅓ respondenta... Pozostaje zgadywać, czy liczba zbadanych przez Fleminga Białorusinów między 19, a 25, a 34. rokiem życia wynosiła 19, 9 czy też może 5 osób. Największym kuriozum jest wykres ze s. 135, opisujący poczucie tożsamości narodowej polskich Żydów

w zależności od wieku: w grupie między 45. a 54. rokiem życia w ogóle zabrakło respondentów, za to w grupie między 55. a 64. rokiem życia 100% badanych zadeklarowało tożsamość „mieszana”. 100% spośród ilu – a nuż spośród jednego? Bardzo mi przykro, ale choćby nawet uzyskane w ten sposób dane wskazywały na jakąś prawidłowość i choćby autor nie wiem jak sensownie tłumaczył, że zachodzi ona nieprzypadkowo, trudno mówić o jakiegokolwiek wiarygodności statystycznej Flemingowych wykresów.

Kwestia trzecia dotyczy, by tak rzec, „poglądowej” części książki. Nie ukrywam, że publicystyczna ostrość niektórych sformułowań w książce, która zarazem nosi wszelkie cechy opublikowanego bez istotnych zmian doktoratu, trochę mnie razi. Mała próbka:

„(...) *We wrześniu 1989 roku „Solidarność” znalazła się u władzy. Czy zamierzała teraz podjąć hasła tych wartości i praw, za którymi w latach 1980-81 stanęły miliony? Nie. Nawet gdyby chciała, nie pozwoliłoby na to nacisk z Zachodu, upojonego dogmatami monetaryzmu*”. (s. 61).

Jeszcze bardziej, zwłaszcza w kontekście tej publicystyki, razi mnie coś, co mogłoby stanowić atut pracy – mianowicie wspomniane już bogactwo aparatury pojęciowej i częste wycieczki na wysokie diapazony filozoficznej abstrakcji. Te świadectwa rozległych lektur nie dają bowiem poczucia intelektualnej jedności z empiryczną warstwą książki. Mówiąc niejakim skrótem, Fleming lubi przywoływać Jean-Paula Sartre’a, Simone de Beauvoir, Michela Foucaulta i Herberta Marcuse w bezpośrednim celu skomentowania sytuacji w Kędzierzynie-Koźlu bądź Czarnej Białostockiej. Zderzenia wysokiej abstrakcji z konkretem bywają ożywcze; dobrze byłoby jednak mieć poczucie, że nie chodziło wyłącznie o opakowanie tematu w prestiżowe nazwiska, ale o jakiś rzeczywisty pomysł na odświeżenie perspektywy badawczej. Książka Fleminga takiego poczucia nie daje, ponieważ wszyscy ci nobliwi myśliciele goszczą tu najczęściej w postaci surowych cytatów i myśli ze sztancy („*Sartre przekonująco wykazał, że nie sposób nie ulec wpływowi ze strony Innego*”), a co gorsza, pojawiają się na ogół w bliskim sąsiedztwie głównej tezy. Trudno się oprzeć wrażeniu, że wykorzystano ich jako swego rodzaju światopoglądowe szcudła; nie służy to wiarygodności autora, który i tak dość często jak na pracę akademicką przemawia z „perspektywy słuszności”.

Okrojony dobór grup mniejszościowych tłumaczy w jakiejś mierze nieuniknione ograniczenia związane z pisaniem doktoratu. Słabość zbieranych w pojedynkę danych socjologicznych sugeruje, że być może autor podjął się zadania, które go ilościowo przerosło – aczkolwiek to już słabsze wyjaśnienie, bo problem dotyczy samego faktograficznego trzonu pracy. Najwyraźniej jednak Fleming nie uważał tych kłopotów za istotne, skoro zdecydował się opublikować doktorat bez zmian. Publicystyczna wyrazistość tezy i jej silny rys światopoglądowy kontrastują na tyle mocno ze słabościami socjologicznej faktografii, że ta ostatnia sprawa wrażenie cokolwiek drugorzędnej.

Wydaje mi się skądinąd, że przypadek białoruski jako główna jej ilustracja został potraktowany w sposób nieco instrumentalny. Na niepowodzenie prób stworzenia i wypromowania nowoczesnej tożsamości białoruskiej wpłynęło wiele powiązanych wzajemnie czynników – w większości znacznie starszych niż III RP i w niemałej mierze pozapolskich. Fleming wspomina o nich,

jednakże w ostatecznej diagnozie główny akcent pada na polski kapitalizm po roku 1989 i towarzyszącą mu degradację socjoekonomiczną regionu. Skonfrontowanie ubogich, infrastrukturalnie zdegradowanych i tożsamościowo najwęższych Białorusinów wyłącznie z dwiema najzamożniejszymi i organizacyjnie prężnymi grupami mniejszościowymi bardzo polaryzuje przedstawiony obraz i ułatwia Flemingowi sformułowanie owej diagnozy w sposób ostry i cokolwiek jednostronny. Być może uwzględnienie przypadków pośrednich i typologicznie odmiennych – zwłaszcza Ukraińców, ale również Romów – zmusiłoby autora do jej wysubtelnienia.

Niestety, dominacja światopoglądu nad faktografią subtelności nie sprzyja; sprawia za to, że teza główna, w niedostatecznym stopniu związana wynikami badań, raz po raz redukuje się do poglądu, że liberalny kapitalizm jest bardzo, ale to bardzo brzydki. W tej sytuacji wiele można: można w sposób całkowicie jednostronny gromić próby rozszerzenia granic Białowieckiego Parku Narodowego jako wymierzone w miejscową ludność zakusy międzynarodowego spisku ekologów (Fleming na s. 249 odsyła czytelnika do pewnego artykułu, który wykazuje ponoć niezbitcie, że Puszcza Białowiecka nie jest żadną puszczą i na żadne specjalne traktowanie nie zasługuje); można z sympatią wspomnieć o pośle Syczewskim, który „*wywołał awanturę w Polsce, sugerując podczas wystąpienia w Mińsku, że istnieje więcej niż jedna forma demokracji*” (s. 248; inne ustępy książki wskazują, że autor orientuje się niezłe w sytuacji na Białorusi i wie, jaki to alternatywny model demokracji oraz promocji białoruskości wsparła „*sugestia*” Syczewskiego, występującego bądź co bądź jako poseł). Można w dobrej wierze cytować pogląd, że „*ruch ukraiński na Podlasiu to oparte na fikcji dzieło białoruskich zaprzańców, namówionych do złego przez polskie władze*” (ss. 162, 196) i w ten sposób sprowadzić kwestię pogranicznych tożsamości do prostych mechanizmów spiskowych (nb. pogląd, że PRL, aby osłabić Białorusinów, gotowa była aż wspierać Ukraińców, brzmi jakoś podejrzanie, ale brak kontekstu ukraińskiego w książce pozwala i na takie ujęcie)¹; można wreszcie zaprezentować historyczne wprowadzenie do kwestii dzenderowej w Polsce, cechujące się przenikliwością godną przewodnika „*Lonely Planet*” (mężczyźni walczyli w powstaniach, a kobiety musiały rodzić dzieci i dbać o wszystko, poza tym był kult Matki Boskiej, no i wszystko to razem skrzystalizowało się w restrykcyjnej ustawie antyaborcyjnej z 1992 roku – słowo daję, że niewiele upraszczam, por. ss. 35-36).

Można by jeszcze napomknąć o szeregu ciekawostek w rodzaju informacji, że średniowieczna Polska była schronieniem dla prześladowanych z innych części Europy (s. 39) oraz o dość daleko posuniętym niechlujstwie językowo-edytorskim... ale chyba już nie trzeba. Gdyby Fleming, jak już wspominałem, rozbudował swój doktorat przed książkową publikacją, a przede wszystkim gdyby gruntownie dopieścił część stricte socjologiczną, być może końcowy osąd dałoby się odczytać jako uczciwie wsparty na empirii. Że zaś tego nie zrobił, jego „*National Minorities...*” sprawiają wrażenie kotleta miejscem przypalonego, miejscem niedopieczzonego, a i o zapachu niezbyt powabnym.

Przypisy

¹ Patrz na ten temat również: Rafał Pankowski „*Narodowość i terytorium. Na marginesie sporu Ukraińców i Białorusinów*”; „NIGDY WIĘCEJ” nr 3, 1996 r.